

Generał Władysław Anders, dowódca II Korpusu Polskiego na Zachodzie, był w zniewolonej przez komunistów Polsce symbolem nadziei na szybkie odzyskanie przez naszą Ojczyznę suwerenności. Wyobrażano sobie, iż Amerykanie wyrzucą Sowietów znad Wisły i że do wyzwolonego Kraju przybędzie na białym koniu generał Anders – nasz wódz i zwycięzca spod Monte Cassino.

I choć nadzieje te okazały się płonne, to pozwoliły Polakom zachować ducha Narodu w czarną noc terroru lat 1944-1956.

Z tęsknotą czekaliśmy potem na takiego wodza, co odsunie od władzy zbrodniarzy, którzy ujarzmili nasz Naród w czasach stalinizmu. Cieszyliśmy się z takiego nawet rozluźnienia reżimu niewoli komunistycznej, jakie przyniosło dojście do władzy Władysława Gomułki, który spolonizował Ludowe Wojsko Polskie i oczyścił aparat państwa z najbardziej brutalnych żydowskich oprawców. Jeszcze bardziej radował nas względny dobrobyt i przystopowanie represji, jakich doznaliśmy w dekadzie Edwarda Gierka. Niemniej, o czym zaświadczały słowa *Hymnu Polski lat siedemdziesiątych*, bardzo krytycznie podchodziliśmy do „naszych” lokalnych kacyków, a marzenie o prawdziwym polskim mężu stanu – przywódcy Narodu pozostawało wciąż żywe:

*„Ojczy Świąty Janie Pawle Drugi  
Spłać za Polskę wszystkie długi  
Czy to w rublach czy w dolarach  
Bo się Polska nam rozwała.  
Pomóż aby w siłę rosła  
Miała wodza a nie osła  
Mamy już po dziurki w nosie  
To moskiewskie grube prosię.”*

Aż przyszedł sierpień 1980 roku i uwierzyliśmy, iż mamy znów męża opatrnościowego Narodu, że jest nim przywódca Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność”. Z nadzieją na odmianę Polski trwaliśmy przez stan wojenny i rządy generała, którego symbolem nie był biały orzeł, lecz WRONA.

W roku 1989 wydawało się, że marzenie Polaków doczekało się szczęśliwego zakończenia: nasz prezydent Lech Wałęsa głową Państwa a nasz premier Tadeusz Mazowiecki na czele rządu. Niebawem się jednak okazało, iż „Solidarność” okrągłostołowa to już nie ten narodowo-katolicki ruch Polaków, co w roku 1980 i że zostaliśmy przez Żydków, dzieci stalinowców, cynicznie ograni.

Kolejna szansa na odzyskanie Polski z rąk wychowanków Jakuba Bermana i Hilarego Minca pojawiła się w roku 2005, kiedy to Jarosław Kaczyński wysunął program odnowy Kraju i budowy IV Rzeczypospolitej. Szliśmy wówczas na wybory z nadzieją na radykalną zmianę w naszej Ojczyźnie. Jakież było zatem nasze zdumienie dwa lata później, gdy ci, którzy byli naszą nadzieją, powierzoną im przez Polaków władzę oddali praktycznie bez walki tym, od których obiecywali nas wyzwolić.

Gdy jednak w roku 2010 dotknęła Polskę katastrofa smoleńska, a myśmy wierzyli, że był to zamach, tłumnie wyszliśmy na ulice Warszawy, domagając się rozliczenia winnych i odsunięcia od władzy skorumpowanych liberałów. Polacy masowo składali deklaracje członkowskie Prawa i Sprawiedliwości i oferowali bezinteresowną pracę w ramach tej organizacji, w której znowu ujrzeli siłę naprawczą Narodu i Państwa Polskiego. I dziwili się, że odsyłani byli z kwitkiem.

Kiedy zaś oddolny ruch sprzeciwu na Krakowskim Przedmieściu bronił krzyża oraz oczekiwał, że pokierują nim politycy PiS, przywódcy centroprawicowej partii uczynili unik i dyskretnie odcięli się od domagającego się zwrotu mu Polski tłumy.

Upłynęła już dekada, jak politycy Prawa i Sprawiedliwości spełniają rolę wentyla bezpieczeństwa niezadowolenia społecznego w istniejącym w naszym Kraju reżimie politycznym. Bardzo to wygodna rola i dla władzy i dla takiej opozycji, która blokuje w parlamencie miejsce przynależne autentycznej organizacji politycznej polskich patriotów.

Trudność zatem z odnową oblicza Polski nie wiąże się wyłącznie z ogłupieniem naszego „społeczeństwa”-wyborców, ale także z brakiem siły politycznej, która realnie, a nie jedynie deklaratywnie, zaangażowałaby się w proces zmian instytucjonalnych i ustrojowych w Ojczyźnie. Niestety bowiem aktyw Prawa i Sprawiedliwości nie jest białym koniem niosącym dla Narodu Polskiego oczekiwanego przywódcę, a sam Jarosław Kaczyński nie da się porównać z charyzmatycznym generałem Andersem.

Każde społeczeństwo, w tym także polskie, składa się z naturalnych wodzów i mentalnych niewolników. Każde posiada ludzi walecznych i tchórzliwych, spójnych, autentycznych i uczciwych oraz fałszywych i aferzystów. Niemożliwe jest zatem, aby na polskiej scenie politycznej nie mógł pojawić się w końcu upragniony wódz Narodu na legendarnym białym rumaku. To od nas głównie zależy czy i kiedy ukształtujemy go naszą pracą ideową i organiczną, czy pozwolimy mu zaistnieć i rozwinąć się oraz, czy przygotujemy polskie społeczeństwo na jego przyjęcie.

Wódz Narodu Polskiego z pewnością przybędzie, gdy już będziemy gotowi.

W historii naszego Kraju takim wodzem, który przyniósł Ojczyźnie wolność był Marszałek Józef Piłsudski. Nie byłoby to jednak możliwe, gdyby nie wytrwała i skuteczna praca przygotowująca społeczność polską i

międzynarodową na tę chwilę. Dość wymienić takie postacie jak Roman Dmowski, Ignacy Józef Paderewski, Maurycy Zamoyski, Ignacy Daszyński, Wincenty Witos, gen. Józef Haller, czy gen. Józef Dowbor - Muśnicki.

Być może więc chwilę dziejową, w jakiej obecnie się znajdujemy, należy traktować jako czas przygotowań do tego, aby oczekiwany przez nas wódz Narodu wreszcie przyszedł. Obyśmy jej nie zmarnowali.